

6656W

Dziennik Polski

Kraków

DZ.Nr 254

28-10-2004

Emigracja jako zadanie

PIOTR SZALSA nie tylko o premierze *Antyfony* w Nowym Jorku

- Jest Pan muzykiem, absolwentem Akademii Muzycznej, ale w sumie całe życie zajmuje się Pan tylko popularyzowaniem muzyki...

- Faktycznie, grałem głównie w czasie studiów, i to w Krakowie, w orkiestrze Jerzego Gerta, ale i wtedy pisałem już do prasy; moja pierwsza recenzja dla „Ruchu Muzycznego” wiązała się też z Krakowem - dotyczyła *Audjencji Schaeffera* wystawionej w Krzysztoforach przez Jana Peszka oraz grającego na wiolonczeli Jerzego Klocka. Szybko uznałem, że źle się czuję w masie, czyli w orkiestrze, że wolę zostać solistą. I poszedłem do telewizji jako redaktor muzyczny.

- Od 1983 roku mieszka Pan w Wiedniu, skąd wybór?



Fot. Wacław Klag

- Po wyrzuceniu z pracy w stanie wojennym moim celem był Nowy Jork. Ale tak się złożyło, że w Wiedniu szybko nawiązałem kontakty z tamtej-

szą telewizją, z operą kameralną - i zostałem. Po półtora roku już miałem austriackie obywatelstwo.

Dokończenie str. - 14

Emigracja jako zadanie

Dokończenie ze str. 13

- I zaczął Pan tam propagować muzykę polską. Jest Pan autorem m.in. hasła *Kraków w austriackiej encyklopedii muzycznej*...

- To wielotomowe wydawnictwo, które oczywiście głównie ukazuje muzykę tego kraju, a zatem i czasy monarchii, ergo Galicji. A więc - Kraków. Punktem ciężkości hasła są zatem 123 lata c.k. monarchii, ale opisują i muzykę w Krakowie od powstania miasta, jak i okres od I wojny światowej do dziś. Chyba nie ma w języku niemieckim innego tak obszerne hasła na ten temat.

- Dużo reżyserował Pan w austriackiej telewizji publicznej...

- Dobrze, że używa pan czasu przeszłego, teraz bowiem programów artystycznych powstaje tam bardzo mało.

- Tam też?

- Nie daj Bóg, by w Polsce stało się podobnie. 10 lat temu produkowano, powiedzmy, 50 filmów w ramach publicystyki kulturalnej, obecnie - góra pięć. Zlikwidowano redakcję muzyki w telewizji austriackiej - kraju muzyki!

- Wiele z tych Pana wiedeńskich przedsięwzięć wiązało się z Polską...

- Zawsze moim celem była realizacja projektów łączących te kraje, stąd zajmowałem się polskimi Habsburgami, Chopinem w Wiedniu... Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że emigracja to nie los, tylko zadanie. I jak ją tak traktować, to można bardzo dużo zrobić - dla siebie, dla kraju i dla tej sprawy. Moja fascynacja Karolem Szymanowskim, któremu niegdyś poświęciłem książkę, zaowocowała przed dwoma laty wiedeńskim festiwalem jego muzyki i symposium naukowym; teraz wydję książka z tymi referatami, pierwsza po niemiecku o tym kompozytorze.

- Miał Pan też kontakt z gigantami świata muzyki - poważnej i jazzu...

- To z racji zdobytego w Austrii zawodu reżysera programów muzycznych, funkcji, której w Polsce nie ma. Koncerty symfoniczne, oratoria, koncerty jazzowe są tam reżyserowane. Taki reżyser musi znać nuty, musi przeanalizować partyturę, po czym rozpisać ją na ujęcia - pamiętam, że symfonię Brücknera rozpisaliśmy na 380 ujęć...

- Po raz drugi współpracuje Pan z Teatrem Ludowym, wcześniej reżyserował Pan musical *Siostry Parry*; znów Kraków...

- Ten musical był takim przedsięwzięciem łączącym kraje; austriacka sztuka o losie Żydów z Galicji, którą przetłumaczyłem i po raz pierwszy zaistniała w Polsce. A wszystko dzięki poznaniu w Wiedniu dyr. Jerzego Fedorowicza, zaproszone-

go z grupą dyrektorów przez jedną z agend ministerstwa kultury.

- Teraz zobaczymy *Antygonę w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego. Podziela Pan opinie Jana Kotta, że to obok *Emigrantów Mrożka* i *Do piachu Różewicza* jeden z najlepszych dramatów ostatnich lat?

- Na pewno jeden z najatrakcyjniejszych. Najlepszym tego dowodem jest to, że jest tak czę-



Fot. Wacław Klag

Piotr Szalsza

sto grany. W październiku miał dwie kolejne premiery w Polsce. Sam tej sztuki nigdy na scenie nie widziałem. W Austrii Janusz Głowacki jest nieznany. A wybrałem ten tekst także dlatego, że daje aktorom świetne pole do popisu.

- Ale opisany przez Głowackiego los kłoszardów z *Tompkins Park na Manhattanie* nie jest doświadczeniem Panu znanym...

- Bezpośrednio nie, ale dużo podobnych typów spotkałem w słynnym obozie Traiskirchen tuż po znalezieniu się w Austrii. Z potężnymi problemami alkoholowymi, z perspektywą do jutra...

- Też odczytuje Pan tekst dramatu poprzez *Becketta* i *Czekając na Godota*, jak czynił to Kott?

- Ja idę bardziej w groteskę, w czarny humor; ten tekst ma nastrojowy typ dla Głowackiego - choćby z *Polowania na muchy*, ironii, żartu, ale i odnajduję w nim wiele dowcipu rodem z filmu „Miś”. *Antygonę*... nazywa się tragicomedią, ja te proporcje odwracam w kierunku „komedioteagiki”. A ponadto z powodu mojej „schizmy” muzycznej, pozwoliłem sobie wprowadzić i akcenty muzyczne.

- Jakież?

- Niech to zostanie niespodzianką. I to nie jedyną. Cieszę się natomiast z miejsca wystawienia tej sztuki - nowa scena „Ludowego” zwana Stolarnią, ma wszelkie atrybuty, by stać się miejscem kultowym. Do *Antygony*... - jak ulat.

- I tak reżyserując w teatrze znów Pan jest solistą.

- Fluidy teatralne chłonałem od dziecka. Zabierany przez rodziców widziałem *Matkę Courage* z Heleną Weigel, i Burgtheater, i Laurence'a Oliviera jako Tytusa Andronikusa... A moje doświadczenia teatralne biorą się głównie z pracy telewizyjnej, czego ukoronowaniem była przed siedmiu laty inscenizacja

dla Teatru Telewizji *Placu Bohaterów* Thomasa Bernhardta ze Zbigniewem Zapasiewiczem, Krystyną Jandą, Janem Englerem, Ewą Dałkowską, Anną Seniuk i Martą Klubowicz.

- Która teraz zagra w austriackiej wersji *Antygony*...

- A może trochę później i w krakowskiej. Na razie niemal równoległe do niej powstaje wersja niemiecka z Gabrielem Abratowiczem, Martą Klubowicz jako *Antygoną* i krakowianinem Piotrem „Kuba” Kubowiczem jako Saszą. Marta i Piotr spędzili w Wiedniu wiele lat jako emigranci, mają tam też swoją widownię; on m.in. jako główny wykonawca *Godzinek* wg Rilkego. Premiera *Antygony*..., zarazem pierwszej sztuki Głowackiego w Austrii - 25 listopada, po czym będzie grana przez tydzień w bardzo dobrym teatrze Künstlerhaus. Współpracuje przy jej przygotowaniu znów kilka polskich i austriackich instytucji, w tym, jak i przy *Siostrach Parry*, Wiener-Krakauer Kultur-Gesellschaft.

- To będą inne wersje?

- Na pewno, także z powodu innych aktorów, ich osobowości, doświadczeń. To bardzo przyjemne inaczej malować ten sam temat. Poza tym immanentne cechy języka też wpływają na klimat sztuki. A w Wiedniu zagrają po niemiecku Polacy, będzie zatem sytuacja jak w dramacie, kiedy to Portorykanka, Polak i rosyjski Żyd mówią nie w swoim języku. Jedynie Policjant posługuje się mową ojczystą.

- Głowackiego sam Pan tłumaczył?

- Nie, wzięłem przekład już funkcjonujący na rynku niemieckim.

- Na razie jednak zobaczymy wersję polską...

- A w niej Beatę Schimscheiner, Andrzeja Franczyka jako Saszę, Jacka Wojciechowskiego jako Pchełkę i Jerzego Fedorowicza w roli Policjanta, którzy wiele wnieśli do tej sztuki.

- Na emigracji spędził Pan 20 lat, wielu powraca, jak choćby wspomniana Marta Klubowicz...

- Są momenty, kiedy mam wrażenie, że w ogóle nie wyjechałem, tym bardziej że zacząłem odwiedzać Polskę bardzo szybko, kręcąc tu filmy, zbierając materiał do książek... To tak blisko. A zarazem tyle jest jeszcze łączących te kraje tematów, ludzi. I to jest to zadanie emigranta, o jakim wspominałem wcześniej. Na kolejne 100 lat.

- A propos lat; obchodzi Pan w tym roku potrójny jubileusz - 60. urodziny, 40 lat pracy, z czego 20 w Austrii...

- Mój wnuk się nawet zapytał ostatnio: Czyżbyś ty, dziadek, miał 120 lat?

Rozmawiał:

WACŁAW KRUPIŃSKI